

Wiemy od cudzoziemców, którzy zwiedzali Polskę w XVI i XVII wieku (...), że szlachta była w ciągłym ruchu do krewnych i do przyjaciół, i że nie odstraszała jej nawet stumilowa odległość od podróży bez słusznej potrzeby.

Warszewicki przytacza przypowieść niemiecką, według której całe życie Polaka upływa na trzech rzeczach: deklamacji, hu-lance i podróżach; Kromer powiada o swoich współczesnych: *complures libenter peregrinantur*, a Francuz *Laboureur* nazywa Polaków *les plus grands voyageurs de l'Europe*.

Potwierdzają nam tę skłonność do podróżowania bez potrzeby i rozumnego celu nasze własne źródła literackie i pa-miętnikowe, w których „szlachcic przewoźny”, podróżujący „rzemiennym dyszlem” należy do gęstych figur codziennych.

(Władysław Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*)

*

Wspaniałych wakacji, fantastycznych wczasów, a zwłaszcza - dla podtrzymania staropolskiej tradycji - co najmniej stumilowych wojaży „bez potrzeby” i „rozumnego celu”

życzy Czytelnikom
„Impuls”.

Witold Banach, Lech Wawrzyniak, Jerzy Wójcicki

Impuls

DODATEK SPOŁECZNO-KULTURALNY

* Numer drugi * 13 lipca 2001

Wietnam, Laos i Jacek Pałkiewicz

Indochińska przygoda

Są różne pasje. Ja - podróżuję. Towarzyszem mojej ostatniej eskapady był Zbyszek, przyjaciel sprawdzony, a to podczas wyprawy rzecz niebagatelna. Dlaczego akurat Wietnam z Laosem? Azję Południowo-Wschodnią już dwukrotnie odwiedzałem, ale tam, cholera jasna, jeszcze nie byłem. Dodatkowym argumentem stała się bardzo powikłana historia tych krajów, a przecież nie da się ukryć, że zawo-wo właśnie „histeryzuję” (po wielu latach w szkołach to niewykluczone i w dosłownej postaci).

WIETNAMSKIE POWITANIE NOWEGO ROKU

Do stołecznego Hanoi, przez Paryż i Bangkok (tym razem tylko tranzytowo), dotarła nasza dwójka bez sternika po ponad dobie, co wynikało ze spóźnien samolotów. Transfer do centrum miasta, pozornie prosty i oczywisty, grozi jednak przy pośpiechu i nieostrożności poważnym uszczupleniem zasobów. Należy wyknąć się ze szponów taksówkarskiej mafii (pod tym względem Warszawa bliżej jest trzeciego świata niż Europy) i dojechać mikrobusem bądź znaleźć tańszą opcję na parkingu lub w holu lotniska.

Wieczorne Hanoi przywitało nas zgiełkiem, łokiem i egzotycznymi, niekoniecznie miłymi dla nozdrzy zapachami. Nie opodal naszego hoteliku, w starej części miasta, w ulicznych i podwórkowych garkuchniach gotowały się kurczaki razem z... pierzem. Niektórzy uliczni sprzedawcy trzymali uwiązane na paskach martwe i oskubane już ptaki, ale wraz z pazurami, głowami i grzebieniami. Smacznego...

Mieszkając w starym Hanoi, czuliśmy się trochę jak w mrowisku. Dookoła nas w niewielkich, często jednoizbowych mieszkaniach, co widać było z okien naszego taniutkiego hotelu, gnieździły się wieloosobowe rodziny. Do późnego wieczora na ulicach kłębił się nieprzebrany tłum. Przypadkiem trafiliśmy w ostatnie 2 dni roku księżycowego(ruchomego), który dla sporej części mieszkańców Azji jest wyznacznikiem kalendarza. W ten sposób mieliśmy szansę na przeżycie po raz drugi sylwestrowej nocy. Owa noc przypadała na 24 stycznia, więc ulice i place wypełniły się dodatkowo świętującymi Wietnamczykami. Zaczął się rok węża. Chung mung nam moi!-Szczęśliwego nowego roku!

OKRUCHY PÓŁNOCY

Z miejsc historycznych godna zobaczenia jest, mimo wszystko, brudna, zatłoczona i hałaśliwa starówka, kilka świątyn z uroczą, subtelną pagodą jednego filara, dzielnica kolonialna, a także muzeum i mauzoleum uważanego za ojca narodu, komunistycznego lidera i dyktatora Ho Chi Minha. To jakaś część tutejszej tradycji, choć może nieco przypominająca sowieckie standardy.

światowego dziedzictwa UNESCO.

... I OKRUCHY POŁUDNIA

Niewątpliwie na trasie naszej wyprawy Hue zabraknąć nie mogło. To stare, kilkusetletnie miasto, pełniło niegdyś rolę stolicy, a jego główną atrakcją jest olbrzymi cesarski pałac, wpisany także na listę UNESCO, wzniesiony na obraz i podobieństwo pekińskiego Zakazanego Miasta. Niestety, niemała jego część uległa zniszczeniu podczas wojny i zmagania US-Army z Vietcongiem i posiłkującą go komunistyczną Północą. Tragiczny był zwłaszcza rok 1968, podczas sławnej ofensywy Tet, która paradoksalnie pomimo klęski strony wietnamskiej, zmusiła Amerykanów do rozpoczęcia rokowań. Miasto podniosło się co prawda ze zniszczeń, ale pałac, położony po drugiej stronie Perfume River, z pomocą międzynarodowej społeczności jeszcze ciągle leczy rany. Nie opodal pałacowego kompleksu wznosi się uroczą 7-piętrową pagoda, zwąca się dzwiewicznie Mu.

Na południe od Hue wzdłuż brzegów skracającej rzeki podziwiamy imponujące rozmachem grobowce cesarskie ostatniej dynastii Nguyen. Jeden z nich nosi wyraźne ślady wpływów europejskich, co dało raczej dzi-



Po mieście przemierzaliśmy się ze Zbychem, jak lepsi goście...

waczną mieszankę wietnamskiego pseudo-baroku.

Mijając po drodze bitewne pola ostatniej, 30-letniej (1945-75) faktycznie wojny, via Da Nang, ruszyliśmy dalej na południe. Naszym celem stało się teraz Na Thrang, uchodzące za główny, nadmorski kurort tej części Wietnamu. Główną atrakcją są tutaj pobliskie wysepki i rafa koralowa, a także plaże, które choć piękne - mogłyby być czystsze. Dwa kilometry na północ znajdują się budowle w kształcie charakterystycznych wież, wzniesione między VII a XII stuleciem przez cywilizację Champa, swego czasu regionalną potęgę, konkurującą skutecznie z khmerskim Angkor, Syjamem (Tajlandią), Laosem, czy Chinami. Malowniczy jest też port rybacki wypełniony niebieskimi łódkami i stateczkami. Po mieście przemierzaliśmy się ze Zbychem, jak lepsi goście, a może raczej półtora gościa, rowerowymi i riksami, pchanymi przez wychudzonych, ale silnych facetów. Chyba tego popołudnia zarobili na utrzymanie swoich rodzin na kilka następnych dni. A rodziniki tutaj bywają liczne, co choćby przypominała nam mijana po drodze, wypełniona 6 dziećmi, inna riksza...

SAJGON I DELTA MEKONGU

Nasza droga prowadziła dalej na południe, do jednej z większych azjatyckich metropolii, najludniejszego miasta Wietnamu, 7-milionowego Sajgonu, przerwającego na militarne zjednoczenie kraju w 1975 r. imieniem Ho Chi Minha, który tego faktu nie doczekał. Po trwającej niemal cały dzień podróży wypchanym maksymalnie minibusem, z postojem przy pięknej plaży w wiosce Ma Nue, dotarliśmy do tętniącego życiem do późnych godzin nocnych miasta.

Sajgoński moloch, podobnie jak Bangkok, na początku przytłacza, ale przy bliższym poznaniu może nawet i fascynować. Krzyżują się tutaj wpływy kilku cywilizacji, a to bywa zazwyczaj płodne, choć irytuje rasistów i różnego rodzaju ortodoksów. W centrum wyrastają na globalizacyjną modłę drapacze chmur najczęściej będące własnością zachodnich lub, co częstsze, dalekowschodnich inwestorów, mieszając się z francuską kolonialną zabudową, której perełkami są gmachy ratusza, teatru i neogotyckiej katedry. Ścisłe city otacza ocean

niewielkich, najczęściej brzydkich, pozabawionych wyrazu, przepelnionych domów. Wreszcie jeszcze dalej, w części zachodniej i południowej miasta, wyrasta przed nami, podobnie jak w Hanoi, labirynt wąskich ulic i uliczek.

To tam wśród uwijających się pospiesznie zapracowanych mieszkańców, unoszących się zapachów przypraw i kadzideł, bije prawdziwe serce metropolii. Obok siebie wyrastają buddyjskie, chrześcijańskie, konfucjańskie i muzułmańskie nawet świątynie. Największy tumult i ścisł panuje w chińskiej (do diabła, gdzież nie ma Chińczyków!) dzielnicy Cholon. Mimo upływu już kilku dni, spora grupa młodzieży nadal świętowała rozpoczęcie nowego księżycowego roku, maszerując i grając w barwnym korowodzie. Nad udekorowanymi lampionami i rzeźbami smoków świątyniami unosiła się subtelna woń sandałowych kadzideł. Miasto, jego klimaty, muzea i ludzi najlepiej poznawać z fotela motocyklowej „taksówki”, zwanej tutaj cyclo, której ceny, jak większość spraw w Wietnamie są do uzgodnienia.

Sajgon od jednej z największych atrakcji kraju, delty Mekongu, dzieli tylko 60 kilometrów. Tworzą ją setki wysepki i około tysiąca odnóg i kanałów, po których krąży niezliczona ilość łódek, promów i stateczków. W domach zawieszonych na palach bądź po prostu pływających po wielkiej rzece - mieszkają ludzie, załatwiający w niej oprócz fizjologicznych potrzeb, także i inne użytkowe potrzeby, jak np. pranie i kąpiel dzieciaków. Kulturowy szok!

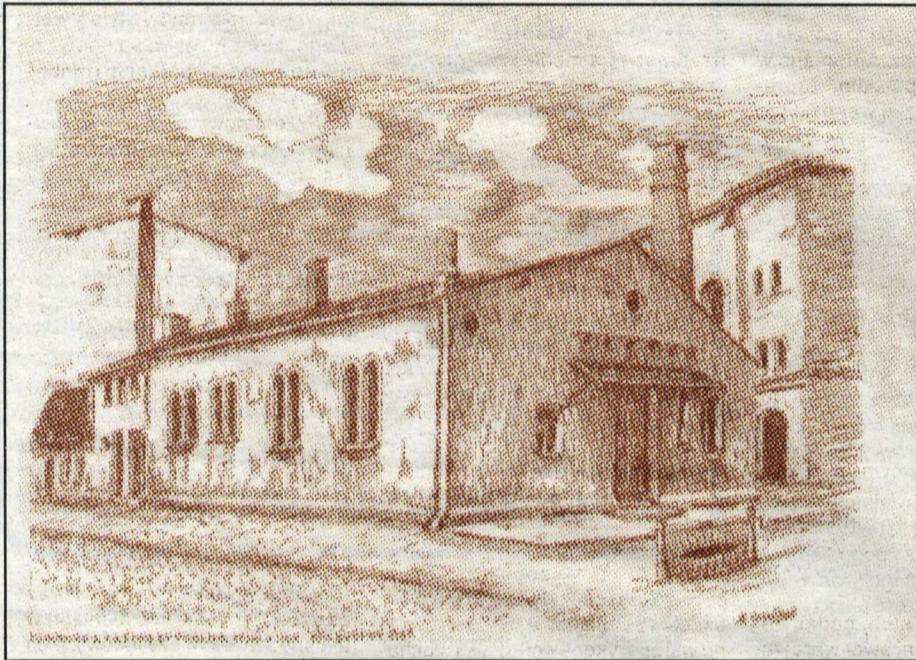
Warto zobaczyć również sławne tunele, drażnione przez Vietcong podczas amerykańskiego etapu wojny wokół baz US-Army, w Cu Chi. Czołgając się w nich (mają 60 cm wysokości, to nie dla nas, chłopaki!), łatwiej zrozumieć, dlaczego tym razem marines było naprawdę ciężko tę wojnę wygrać...

LAOTAŃSKI FINISZ

Z Sajgonu (Ho Chi Minh) poleciliśmy do Vientiane, stolicy Laosu. Stanowiła ona kompletne przeciwieństwo, jak i cały ten kraj, wietnamskiego zgiełku, tłumy i hałasu. W stołecznym mieście tylko kilka ulic ma asfaltową nawierzchnię, ruch uliczny jest niewielki, ale czego się spodziewać, jeżeli w 300-tysięcznym Vientiane zarejestrowano niecały tysiąc samochodów. Pożytecznym środkiem lokomocji stał się dla nas tuk-tuk, dziwny pojazd na

W cieniu synagogi (2)

W latach 1858-1860 miasto miało już prawie 6 tysięcy mieszkańców, w tym Żydów 2 tysiące. Przyjrzyjmy się bliżej ich dzielnicy, czyli ówczesnemu wyglądowi Placu 23 Stycznia. Przypomnijmy, jak nazywały się wtedy ulice. Strona, gdzie dziś znajduje się cukiernia Matyśkiewicza - nazywała się Bydłęcą (bo w pobliżu dzisiejszych ubikacji odbywały się targi, na których handlowano bydłem i mięsem, stąd też nazwa Park Mięśny - późniejsze jatki). Druga strona, gdzie obecnie jest kino Target - nazywała się ulicą Średnią - później Żydowską. Natomiast ulica po północnej stronie placu (gdzie dziś postój taksówek bagażowych) nazywała się ulicą Freimanna. A jeszcze była ulica Krótka. Dziś trudno uwierzyć - znajdowała się ona wewnątrz zabudowań dzielnicy - równolegle do ulicy Żydowskiej.



Mykwa - żydowska łaźnia rytualna. Za nią synagoga. Rok budowy 1867. Stan z 1905 roku.

Rys. M. Grzeszczyk

W roku 1867 gmina wybudowała mykwę, czyli łaźnię, która służyła nie tylko Żydom, ale także - za niewielką odpłatnością - pozostałym mieszkańcom. Sześć lat później przy „dużym kirkucie” (nowym cmentarzu) postawiono Dom Pogrzebowy. Zaś w roku 1877 „mały kirkut” (pierwszy cmentarz - ten przy obecnym Placu 23 Stycznia) został uporządkowany, posadzono wokół niego drzewa i nazwano Łaskiem Przyjaźni - na pamiątkę pokoju po wojnie niemiecko - francuskiej.

Jednak najbardziej prestiżową XIX-wieczną inwestycją dla gminy była budowa drugiej synagogi. W pierwszej, stuletniej, trudno już było się wernym pomieścić. Z tym proble-

mem społeczność żydowska - liczna, a tym samym zamożna - uporowała się bardzo szybko. W 1857 roku, 7 kwietnia, przy ulicy Raszkowskiej wylano pierwsze fundamenty. Budowa trwała 3 lata i już jesienią 1860 roku, na święto Rosz ha Szana (żydowskiego Nowego Roku - na przełomie września i października) została ukończona. Koszt budowy, jak wynika ze sprawozdania lambrata, wynosił 20 tysięcy talarów.

Świątynia posiada dwie piękne wieże, w których znajdują się wejścia i schody prowadzące na balkony. Jej mauretański styl z motywami neorenesansowymi miał podkreślać orientalny genese żydowskiej społeczności i jej kulturową odrębność.

Wnętrze ozdobione było żywymi kolorami z przewagą niebieskiego i złotego, co widać na pięknie zachowanej snyderce balkonów i ścianach. W dobrym stanie można jeszcze zobaczyć także sztukaterię i podziwiać sklepienie w absydie. W osiem lat po wybudowaniu świątynia otrzymała oświetlenie gazowe, co pośrednio przyczyniło się do tragedii, jaka wydarzyła się w niej 10 października 1872 roku.

Bocznymi drzwiami i schodami wchodziły do synagogi kobiety i dzieci (chłopcy - jeśli ukończyli 13 rok życia zajmowali razem z mężczyznami część środkową, do której prowadziło wejście główne). W judaizmie dla kobiet z dziećmi są przeznaczone w świątyniach balkony

lub boczne nawy z przepierzeniem odgradzającym od części, w której znajdują się mężczyźni - aby nawzajem nie rozpraszało swej uwagi podczas modłów.

I właśnie październikowego wieczoru, w wigilię JOM KIPUR, podczas nabożeństwa zgłosił nagle oświetlenie gazowe (prawdopodobnie spadło ciśnienie gazu), co wywołało panikę wprost nie do opisania wśród kobiet i dzieci, znajdujących się na balkonach szczelnie wypełnionej synagogi. Podniósł się wielki krzyk, wszyscy rzucili się na oślep do schodów, aby jak najszybciej opuścić świątynię spowitą w ciemnościach. Schody jednak nie wytrzymały naporu tak ogromnej ciżby i załamały się pod ciężarem uciekających kobiet i dzieci.

Razem tego tragicznego wieczoru zginęło 19 osób: 14 kobiet, 2 dziewczynki, 2 chłopców oraz 1 chrześcijanka, która pracowała jako służąca u rodziny żydowskiej. Wszystkie ofiary (oprócz chrześcijanki) zostały pochowane we wspólnej mogile na cmentarzu przy obecnej ulicy Słowackiego, gdzie dziś stoi szkoła. Tragedia ta odbiła się szerokim echem nie tylko na ziemiach polskich. Kondolencje przysłał nawet dwór berliński. Ale nie tylko kondolencje - także wymierną pomoc dla ofiar bądź ich rodziny.

Należy więc, patrząc na synagogę, pamiętać, że to nie tylko wspaniały pomnik architektury, ale i wierny świadek dziejów Żydów ostrowskich. Dla nich była ona nie tylko miejscem wznoszenia modłów do Najwyższego, lecz także miejscem spotkania ze Świętym Słowem

Boga - TORA. Dlatego w języku hebrajskim nazywa się synagogę BEJT KNESET, czyli Dom Zgromadzeń. Tutaj koncentrowało się życie społeczności żydowskiej, tutaj szukano pocieszenia w chwilach zwątpienia, także tutaj świętowano momenty ważne w życiu Żydów, np. BAR MICWE (uroczystość z okazji osiągnięcia wieku pełnoletniości przez chłopców - 13 lat).

Powinniśmy być dumni z tego, że mamy tak piękny zabytek. W Polsce w takim stylu - nasza synagoga jest jedyna. W Europie, podobna jest jeszcze tylko w Budapeszcie - pięknie odrestaurowana, dumna w swym majestacie, a nie „zawstydzona” jak nasza ostrowska. Ale właściwie to nie ona powinna się wstydić, tylko miasto, które jest jej formalnym właścicielem.

Pod koniec XIX wieku zmniejszyła się liczba ludności żydowskiej w Ostrowie. Wielkimi krokami zbliżała się I wojna światowa. Koniunktura spadała. Co bogatsi Żydzi wyzbywali się swych dóbr i emigrowali bądź to do Westfalii i Bawarii w Niemczech, bądź do Francji, Anglii, a nawet Stanów Zjednoczonych. Ci, którzy mieli u nich zatrudnienie - nagle znaleźli się bez środków do życia. Zaczęli więc przenosić się do większych miast, gdzie mieli lepsze widoki na znalezienie pracy. Poza tym - jako społeczność chcieli trzymać się razem, czemu trudno się dziwić.

W rezultacie liczba Żydów w 1900 roku wynosiła 792 osoby, w 1913 - 602, a w wyniku powojennej polityki, kiedy większość Żydów Ostrowa opuściła - odnotowano ich w mieście 39.

W okresie okupacji losy dzielnicy żydowskiej potoczyły się równoległe z losem Narodu Wybranego. Gdy we wrześniu 1939 roku do Ostrowa wkroczyli Niemcy - zaczęli swe „porządki” od likwidacji „dużego kirkutu” - cmentarza przy ulicy Słowackiego. Z przerwą na zimę - wiosną 1940 roku prace likwidacyjne ruszyły błyskawicznie. Oczywiście nikt nie przeprowadził żadnej ekshumacji. Z macew (żydowskich nagrobków) układano nawierzchnie ulic, chodników - a część była wykorzystana do wyłożenia koryta dopływu Ołoboku (tzw. Strugi Ostrowskiej), przy ulicy Słowac-

kiego - starsi mieszkańcy zapewne to jeszcze pamiętają. Już latem 1940 roku na miejscu kirkutu powstało gospodarstwo ogrodnicze, które przetrwało chyba aż do końca lat 60-tych.

W roku 1942 Niemcy postanowili definitywnie rozwiązać problem „żydowski”. Wyburzyli całą dzielnicę łącznie z pierwszą synagogą i cmentarzem. Założyli trawniki, klomby z kwiatami, ławeczki, by mogli po „ciężkiej pracy” odpocząć. Wszystko - „nur fur Deutsche”. A z macew z cmentarza zrobili murek dookoła całego placu.

Na koniec kilka słów o wkładzie obywateli wyznania mojżeszowego w dziedzictwo kulturowe naszego miasta. W 1908 roku odnotowano w nim istnienie Żydowskiego Towarzystwa Historii i Literatury. Najbardziej znaną postacią wśród ostrowskiej inteligencji żydowskiej był **Israel Meir Freimann**, profesor w Gimnazjum Męskim (jego syn **Aron**, później wyemigrował do Nowego Jorku, by wyklądać na tamtejszym uniwersytecie). Aron Freimann napisał historię gminy żydowskiej miasta Ostrowa - „Geschichte der israelitischen Gemeinde Ostrowo” wydaną w 1896 roku. Inną wielką postacią był **Heinrich (Herszel) Graetz** - autor „Historii Żydów”, od Abrahama po drugą połowę XIX wieku. Kolejną - **Otto Landsberg** - minister sprawiedliwości Republiki Weimarskiej w latach 1918 - 1919.

Dziś tylko na polamanych macewach można jeszcze odczytać hebrajskie napisy z imionami tych, którzy ongiś tworzyli żywą społeczność naszego miasta. „Gdy wy będziecie milczeć - kamienie mówić będą”. I tak się stało. Bo dziś - gdyby nie synagoga i murek z macew, można by powiedzieć, że w Ostrowie Żydów nigdy nie było. Że nie było tych, których modlitwy i pieśni rozbrzmiewały w synagodze w każdy szabat, czyli sobotę lub inne święta...

MARIA FRENCEL

W artykule wykorzystano: monografię „Ostrow Wielkopolski. Dzieje miasta i regionu”, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990; opracowanie M. Grzeszczyka „Ludność żydowska w Ostrowie”; ustalenia panów J. Biernackiego i B. Rachuty.

Reymont w „niemieckiej Wenecji”

Lipcowe reminiscencje

Już po raz 18. grupa młodzieży z ostrowskiego „Reymonta” uczestniczyła wraz z opiekunami w spotkaniu z młodzieżą z dwóch partnerskich szkół z Niemiec: Martin - Buber Oberschule z Berlina i Gesamtschule ze Storkow.

Spotkanie odbyło się wiosną w samym sercu malowniczego Spreewaldu w miejscowości Klein Leuthen k. Lubben. Spotkanie zorganizowano dzięki pomocy finansowej Polsko - Niemieckiej Wspólnoty Młodzieży z Warszawy oraz Kinder - und Jugendstiftung z Niemiec. W ciągu 6. lat współpracy, która zapoczątkowana została w 1995 roku, młodzież dyskutowała z niemieckimi rówieśnikami o polityce, kulturze, systemach szkolnictwa, uprzedzeniach i nacjonalizmie. W tym roku szkolnym postanowiła

opracować projekt: „Niemieckie ślady w Polsce i polskie ślady w Niemczech”. Prace zostały rozpoczęte na poprzednim zjeździe w Gdańsku w październiku 2000 roku.

Młodzież pracowała w pięciu mieszanych zespołach. Efektem prac jest strona internetowa o partnerstwie szkół - teczka z materiałami o zmianach terytorialnych obu narodów w ostatnim stuleciu, krótki film o stosunku Polaków do Niemców po II wojnie światowej. Kolejne grupy przygotowały wystawy: 1000 lat historii

Gdańska oraz wybitne postaci polskie i niemieckie jak: **Lech Wałęsa, Gunter Grass, Mikołaj Kopernik, Jan Heveliusz** i inni. Prezentacja końcowego projektu miała miejsce w szkole średniej w Lubben, w której grupa została bardzo życzliwie przyjęta przez społeczność uczniowską. Dużą atrakcją dla polskiej młodzieży była wycieczka do Berlina. Młodzież zwiedziła budynek Parlamentu - Reichstag, Muzeum Pergamońskie, ulicę Unter der Linden (dawne centrum Wschodniego Berlina) i zachodnią część z wszystkimi atrakcjami. Pomimo, że wszystkich zaskoczyła zima, młodzież popłynęła łodziami najbardziej znanymi szlakami wodnymi Spreewaldu.

Wycieczka i bliskie spotkanie z przyrodą okazały się być inspiracją do kolejnego projektu w nowym roku szkolnym 2001/2002. Tym razem młodzież będzie dyskutować o ekologii. Tradycyjnie każdego ran-

ka polscy uczniowie uczyli niemieckich kolegów podstaw języka polskiego. Tym razem to oni „łatali sobie języki” - mówią polscy uczestnicy wymiany. Ostrowscy uczniowie wraz z niemieckimi rówieśnikami zwiedzili również Europaschule w Guben - oraz polski Gubin, mieli okazję porozmawiać z mieszkańcami obu części tego

podzielonego po wojnie miasta o obecnych relacjach między Polakami i Niemcami w rejonie przygranicznym. Ostatni wieczór grupa spędziła na rywalizacji sportowej w kręgielni. Nie możemy doczekać się kolejnego spotkania - to najczęściej słyszane słowa podczas pożegnania. Tuż po wakacjach letnich młodzież spotka się po-

nownie na polskich Mazurach, aby rozmawiać o polsko - niemieckim problemie - ekologii i wymienić wzajemne doświadczenia w tej dziedzinie. W obliczu wejścia Polski do Unii Europejskiej będzie to ważny temat.

ANNA KACZMAREK

koordynator spotkań w ILO w Ostrowie Wielkopolskim



Warto przeczytać

Robert Fisher „Uczymy jak myśleć”

Tłum. Krzysztof Kruszewski. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Spółka Akcyjna. Warszawa 1999, str. 244.

Jest to kolejna pozycja ze znanej i cenionej serii WSiP - owskiej „Literatura Pedagogiczna”.

Myśl niemieckiego filozofa - egzystencjalisty Martina Heideggera to dobre przesłanie, dlatego warto nauczyć się myśleć: „jedną rzeczą, to usłyszeć coś lub przeczytać, czyli po prostu zauważyć, zupełnie inną zrozumieć, cośmy usłyszeli lub przeczytali, czyli po prostu rozważyć”.

Robert Fisher, nauczyciel - praktyk z Ośrodka Umiejętności Myślenia na Uniwersytecie Brunela rozważa m.in. takie kwestie:

- jakie występują relacje między myśleniem twórczym a krytycznym?
- na czym polega sztuka rozwiązywania problemów?
- jak to się stało, że kurs „Filozofii dla dzieci” - M. Lipmana stał się prawdziwą szkołą myślenia, uznaną nie tylko w Wielkiej Brytanii?
- jak umiejętnie odnaleźć się i wykorzystywać miliony bitów informacyjnych bombardujących nas codziennie?
- co przede wszystkim decyduje o jakości procesów dydaktycznych w szkole: materiał nauczania czy metody i techniki logicznego zapamiętywania?
- jak ukształtować w dziecku własny jego obraz jako osoby myślącej i rozwijającej jego właściwe zdolności myślenia i działania?
- dlaczego np. doskonały szachista może mieć trudności z logicznym zapamiętaniem monologu Hamleta, a bardzo dobry aktor będzie miał kłopoty z analizą konfiguracji pionów na szachownicy?
- czy myślenia można nauczyć się „w ogóle”, czy też przede wszystkim na konkretnych treściach?
- dlaczego dzieci uwielbiają pytać „dlaczego” i czy dorośli potrafią odpowiadać?

Książka adresowana jest przede wszystkim do nauczycieli i rodziców zainteresowanych strategią nauki myślenia i uczenia się. Powinny być to procesy wspólne i otwarte. Tylko wówczas jest szansa na sukces.

Tłumaczący tę książkę znany polski pedagog, profesor Krzysztof Kruszewski, tak pisze we wprowadzeniu: „Czytelnik nie musi niczego przyjmować na wiarę i ślepo naśladować. Fisher, korzystając z szerokiej literatury teoretycznej i badawczej i opisów udanych rozwiązań praktycznych, tłumaczy, wyjaśnia, przekonuje. Na szczęście unika wykładu akademickiego”.

Jest to podstawowy walor tej książki. Warto, jak sądzę, pójść za myślą Sokratesa: „Życie niepoddawane próbom niewarte jest trwania” - i podjąć trud twórczego wczytania się w ten swoisty „poradnik sztuki myślenia”. Naprawdę warto stawiać i odpowiadać na inspirujące pytania: jak, gdzie, czy, dlaczego, co, kiedy i kto.

JERZY WÓJCICKI

Indochińska przygoda

bazie motocykla, dosyć typowy dla Azji Południowo-Wschodniej. Najważniejszym i największym (dla Laotańczyków) obiektem stolicy jest pozłacana stupa That Luang, kryjąca w sobie ponoć relikwie samego Buddy. Ciekawe są też dwa klasztory buddyjskie, zwane tutaj - podobnie jak i w Tajlandii czy Kambodży - watami. Interesujące, że pałac prezydencki jest mniejszy o połowę od urzędu miejskiego w naszym pocziwym Ostrowie... Być może to sentymentalne, ale nam wielką radość sprawił spacer bulwami nad Mekongiem, stanowiącym nie tylko na odcinku stołecznym granicę Laosu. Po drugiej stronie rzeki uśmiechała się do nas Tajlandia, a zachód słońca urządził nie tylko z powodu „obalenia” nad wielką wodą lokalnego piwa, podanego przez uroczą, szczupłą, dziewczęcą kelnerkę.

Następnego dnia poleciliśmy do wpisanego na listę UNESCO Luang Prabang, dawnej stolicy państwa. W tym niewielkim mieście znajduje się chyba z pięćdziesiąt buddyjskich klasztorów i świątyń, a mniisi stanowią pewnie czwartą część populacji. Niektóre z watów wręcz powalają swoją urodą, wdziękiem i powabem. W najstarszym z nich, Xieng Thong, przypadkowo wpadliśmy na wieczorną modlitwę. Rytmiczne modlitwy, śpiewy i uderzenia gongów pozwoliły na dłuższą chwilę oderwać się od rzeczywistości. W bud-

dyjskich krajach większość mężczyzn ociera się o mniisi stan, choćby kilka miesięcy swego życia spędzając za murami klasztoru, ucząc się pokory i dystansu do spraw przyziemnych.

Udając się w górę Mekongu, w stronę Chin, około 30 km na północ, w skałach nad rzeką można zobaczyć powstałe wskutek erozji pieczary Pak Ou, znane z rozmieszczenia w nich przez wiele pokoleń setek figurek Buddy. Tajemnicze i romantyczne to miejsce ściągają wielu wędrowców z różnych stron globu...

Tam też ku mojemu pełnemu zaskoczeniu i radości spotkałem mego idola, człowieka, który mi zawsze imponował, największego z polskich obywateli, choć z włoskim paszportem, **Jacka Pałkiewicza**. Prowadził międzynarodową ekipę, sponsorowaną przez Discovery Channel. Pozdrowił wielkopolską ziemię, a ja wzruszony uściskałem swojego guru. W jego ekipie był też znany reżyser filmowy **Jan Jakub Kolski**. Jeszcze raz zobaczyliśmy się przy kaskadach cudownego wodospadu Kuang Si, w którego nieckach - naturalnych basenach - można sobie popływać. Nie mogliśmy tak tego zostawić i wspólnie opróżniliśmy kupioną od ślicznej dziewczyny, ubranej w długą jedwabną spódnicę ze stonikami, butelkę lokalnego ryżowego samogonu o nazwie Lao-Lao. Uwaga - 55%! Niemało, a mimo to zapamiętałem, że w chatkach na palach mieszkały tam w jednym dużym pomieszczeniu całe

Zwidy

Zapach trupa

W zasadzie pisać o pracach Antoniego Starowieyskiego - grubo za wcześnie. To człek młody. Na dorobku. Tworzy dzieła pedantycznie wypracowane. Studyjne. Bardzo serio. Ten ton waży na formie. Traktowanej z ascezą i wpisanej w duże płótna. Jakby skala obrazu miała waloryzować jego przesłanie. I chociaż ta megalomania popłaca, coś takiego na oczach widza nawet się dzieje, to przecież niekoniecznie o pracach Starowieyskiego teraz, już, zaraz - pisać trzeba.

Co jednak, zważywszy owe mało kategoriyczne „w zasadzie” i „niekoniecznie”, nie znaczy, że pisać o nich nie można. Otóż można. A skoro można, to zaczniemy od tego, że posiadał był syn słynnego Franciszka - dar transpozycji na płótno wizji niepokojących, zagadkowych, wręcz onirycznych. Dar swoisty, lecz wcale nierzadki. Wszak dziwność i tajemniczość to walory wizualnie zawsze atrakcyjne i dość tego dużo po galeriach. Z czego tylko kłopot, bo te malarzkie światy, upychane zazwyczaj w jeden interpretacyjny worek, szufladkowane na jedno kopyto, jakoś się jednak między sobą niuansują, a i bywa, że wyrażane są w w diametralnie różnych poetykach.

Więc i nie dziwi, że sztuka młodego Starowieyskiego sama ilustruje trudność takiej egzegezy. Czego dowodem przywołanie z racji jej ostrowskiej ekspozycji, przez analogię, nazwiska **Andrzeja Wróblewskiego**. A to, niestety trop tyleż łatwy, co chybiony. Jako że Starowieyski tworzy przy zachowaniu klasycznych estetycznych kanonów. Jego atuty to głównie wyważona kompozycja, precyzyjna konstrukcja i światło wydobywające plastyczność bryły. Widać, że tradycyjne wartości malarzkie - mimo młodego wieku i czyhających zewsząd mód wszelakich - są u niego w cenie.

Tymczasem Wróblewski w swojej sztuce zgoła programowo posługiwał się środkami brutalnymi, ignorując tzw. ładność (nieobcą dokonaniom Starowieyskiego). O czym świadczy choćby nader nonszalanckie posługiwanie się przezeń kolorem, a także skłonność do deformacji i groteski. Dość przytoczyć, że bez ogródek deklarował malowanie „obrazów przykrych jak zapach trupa”. Co razem wzięte, już po jego tragicznej śmierci w 1957 r., tłumaczy zainteresowanie nim w latach 60. amatorów nowej figuracji, a w 80. - tzw. „dzikich”.

To na płaszczyźnie formalnej. A przecież w warstwie ikonologicznej dystans pomiędzy obu twórcami wcale nie wydaje się mniejszy. Wyznacza go ich zdecydowanie odmienne podejście do tak podstawowej kategorii ontologicznej jak czas. Ma on w pracach Wróblewskiego wymiar konkretny, historyczny i daje się przypisać do określonej rzeczywistości. Stąd nawet w jego metaforycznych dziełach czytelny jest kontekst społeczny lub polityczny, nie mówiąc już o tych, w których autor „Nagrobka kobieciarza” ujawnia niemałe zacięcie satyryczne.

U Starowieyskiego natomiast czas jawi się zawieszony. Ów naturalny komponent wszelkiego bytowania staje się w dziełach młodego twórcy, za sprawą ich sztywnej, poddanej rygorom geometrii struktury, elementem naruszającym niepokojąco nasze poczucie oczywistości. Wrażenie to nadto wzmagają: posągowość przedstawionych postaci, w zniechęceniu swym przywodzących na myśl co prawda ucłowieczono, ale jednak manekiny, sugestywne kontrasty światła i cienia, a także wybijające naszą percepcję z kolein rutyny niekonsekwencje perspektywy i irracjonalne łączenie rzeczy przedstawianych.

W tym kontekście trudno nie zauważyć, że punktem odniesienia dla tej sztuki jest nie twórczość Wróblewskiego, wyrażająca raczej kondycję jednostki w jej wymiarze egzystencjalnym, a włoskie malarstwo metafizyczne. Co stawia mnie w sytuacji dość kłopotliwej. Jako że chociaż nie cenię zbytnio tego rodzaju narracji, to przecież najzwyczajniej, po ludzku, malarstwo to mi się podoba. A w konsekwencji - podoba mi się również malarstwo Starowieyskiego. I to nawet bardziej. Choćby ze względu na jego oszczędne eksploatowanie motywów. Na tym tle włoscy metafizycy zdają mi się najczęściej przegadani.

Z czego więc mój początkowy sarkazm i dystans do pokazanego w Ostrowie niezłego artysty? Najzwyczajniej, z obawy. Gdyż, powtarzam, to człek młody. Na dorobku. A wkroczył na wielce zdradliwą ścieżkę. Dla wielu starych jest ona laurowym zwieńczeniem całej kariery. Więc nikt się nie czepia. Owacja na stojąco. Gdy tymczasem młodzi popadają na niej w literackość i akademizm. Dlatego dmucham na zimne i upieram się, że za wcześnie pisać o nim dziś, już, zaraz, teraz. Przynajmniej póki, jak dotąd, tworzy dzieła studyjne, bardzo serio i pedantycznie wypracowane.

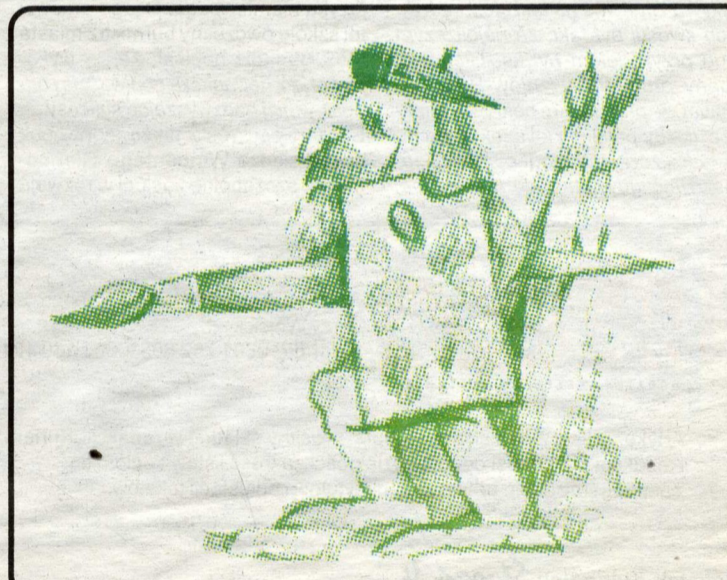
Bo takiej maestrii, na użytek choćby i najszlachetniejszych historii, właśnie się boję. Pomny pokrewnego co do metody przypadku **Zdzisława Beksińskiego**. Z którego dzieł, co prawda, permanentnie rozchodzi się postulowany przez Wróblewskiego „zapach trupa”, tyle że na oko widać, iż jest to trup mocno perfumowany.

LESZEK RAWER

rodziny. Zafrapowała mnie zwłaszcza gromada dzieciaków bawiących się w chatce ze... świnką. Chociaż, kto wie - może to ten samogon...

Następny dzień był jednym wielkim szaleństwem. Po killkugodzinnej bieganinie, ostatnich zakupach i „ablucji”, czyli zanurzeniu naszych zwłok w basenie, mieliśmy serię przelotów. Z Luang Prabang do Vientiane, a stamtąd po 30 minutach (!) przerwy do Bangkoku, skąd po 14 godzinach dotarliśmy do Paryża. To już był przedsiomek Warszawy, czyli niemal w domu. Nieważne, że zagubiły się gdzieś nasze plecaki (znalazły się zresztą po kilku dniach w świecie szerokim) i że spać się chciało jak cholera. Wielka przygoda dobiegła końca i oby jak najrychlej mogła zacząć się następna!

MICHAŁ JARNECKI



Rys. Bohdan Litwin

Dr Hubert Beckhaus (1839 - 1900)

Przechodząc ulicą Chopina w Ostrowie, na skraju parku dostrzec możemy coś, co kiedyś mogło być pomnikiem, dziś jest jedynie ruiną. Gdybyśmy podeszli bliżej do cokołu, o którym mowa, moglibyśmy na nim przeczytać słabo, ale jednak widoczną datę. Jest to rok 1900. W tym bowiem roku pomnik ten wzniesiono. Człowiek, któremu go poświęcono, jest dziś całkowicie zapomniany. Przed stu laty znany był w Ostrowie powszechnie, był bądź co bądź Honorowym Obywatelom naszego miasta.



Pomnik upamiętniający doktora Huberta Beckhaua. Obecnie z tablicą „Park Karola Marcinkowskiego”. Fot.: D. Aleksandrak

Hubert Beckhaus bo o nim tutaj mowa, urodził się 3 stycznia 1839 w Stadtlöhn w Westfalii. Studia filologiczne odbył w Uniwersytecie Berlińskim, który ukończył w roku 1863 uzyskując tytuł doktora filozofii. W tym samym roku zdał także egzamin nauczycielski. Od roku 1864 pracował w Rogoźnie, najpierw w miejscowej szkole, a następnie w Królewskim Gimnazjum, gdzie uzyskał rangę profesora szkoły średniej (Oberlehrer). Pełen etat nauczycielski uzyskał ostatecznie w roku 1866. 1 listopada 1873 roku powierzono Beckhausowi funkcję dyrektora Królewskiego Gimnazjum w Ostrowie. Pełnił ją przez 27 lat w bardzo trudnym dla szkoły okresie „Kulturkampf”. Mimo to zapisał się w pamięci uczniów i nauczycieli Polaków jako człowiek uczciwy.

Pisał o nim Jerzy Pietrzak: „...za dyrektora H. Beckhaua na ogół nie wyciągano ostrzejszych konsekwencji w przypadku odkrycia nielegalnej polskiej działalności. (...) Beckhaus był człowiekiem liberalnym, w przypadku odkrycia tajnej działalności starał się ją bagatelizować. Nie bez wpływu zapewne na taki stosunek do tych kwestii był fakt, że najbliższym jego przyjacielem był ks. Głębocki, znany protektor uczniów-Polaków. Nawet w przypadku odkrycia większej liczby polskich ksiązek u terytorialnej Kajzera, nie mogąc sprawy zatuszować, gdyż stała się zbyt głośna,

zalałwil ją we własnym zakresie, radząc ojcu ucznia zabrać go z zakładu. Gdy zaś w 1897 r. natrafiono, zdaje się, na walne zebranie gimnazjalnego koła, ograniczono się do udzielenia tylko ustnej nagany.” J. Pietrzak zaliczył dyrektora Beckhaua także do „...tych nauczycieli Niemców, którzy mimo akcji germanizacyjnej potrafili zdobyć się na obiektywną ocenę pracy ucznia i przekazać mu swą wiedzę oraz wzbudzić zainteresowanie do danego przedmiotu...”

Dyrektor Beckhaus podczas pracy w Ostrowie opublikował prace na temat twórczości Schillera i Szekspira, a z okazji 50-lecia Gimnazjum napisał rozprawę „Zur Geschichte des Gymnasiums zu Ostrowo” („Historia gimnazjum w Ostrowie”), poświęconą początkom zakładu (lata 1840-1849-od słynnego kazania księdza Kompały, podczas którego rzucił pomysł budowy gimnazjum do pierwszej matury). Dr Beckhaus w latach 1875-1900 pracował także w Miejskiej Wyższej Szkole dla Dziewcząt (poprzednicze obecne II Liceum Ogólnokształcące w Ostrowie), gdzie uczył języka niemieckiego. O jego pracy w tej szkole ówczesny burmistrz miasta Max Bessert napisał, że „... wykonywał ją z największą gorliwością i odnosił w niej nadzwyczajne sukcesy...”. Bessert podkreśla także jego, obok m.in. księdza Wincentego Głębockiego, szczególne zasługi w rozwoju

Pro musica

Rok Vivaldiego (1)

Dnia 28 lipca 1741 r. umiera w Wiedniu jeden z najoryginalniejszych twórców doby baroku - Antonio Vivaldi. 260 rocznica śmierci kompozytora stała się dobrą okazją do organizacji poświęconych mu licznych koncertów, nagrań i sesji naukowych, a wszystko po to, by przybliżyć postać „rudego księdza” i przyczynić się do lepszego poznania jego muzyki.

Swój udział w jubileuszowych obchodach ma także muzyczny Ostrow. Orkiestra kameralna „Orfeusz” PSM II st. i „Camerata Ostrowska” podczas koncertu „Muzyka dawnych mistrzów”, który odbył się 25 lutego w kościele pod wezwaniem św. Antoniego w Ostrowie Wielkopolskim, zaprezentowały kilka dzieł weneckiego skrzypka. Duże zainteresowanie, jakie wśród słuchaczy wywołały utwory Vivaldiego, zainspirowały mnie do poświęcenia kompozytorowi i jego twórczości cyklu artykułów, którymi chciałbym zachęcić Czytelników do sięgnięcia po nagrania dzieł Mistrza. Muzyka Vivaldiego po jego śmierci pogrzążyła się w muzycznym niebycie. Warto przypomnieć, że podobny los spotkał twórczość Jana Sebastiana Bacha. Kiedy na początku XIX wieku ponownie zaczęto odkrywać sztukę lipskiego kantora, stwierdzono, że niektóre dzieła Bacha są de facto przeróbkami skrzypcowych koncertów Vivaldiego.

Jan Sebastian Bach, będąc samoukiem, szlifował swój warsztat kompozytorski kopiując i przerabiając dzieła innych kompozytorów, w tym także Antonia Vivaldiego. Odkrytych tą drogą utworów

weneckiego mistrza było co prawda niewiele, ale stały się przysłowiowym kijem włożonym w mrowisko - sprawiając badaczom i wykonawcom sporo kłopotu. Muzykę tę próbowano grać i interpretować tak jak dzieła Bacha, Beethovena czy Brahmsa - na modłę romantyczną, czyli pogłębiając emocjonalnie. W partyturach Vivaldiego owych „głębszych uczuć” jednak nie było. Vivaldi musiał więc na swoją nobilitację jeszcze poczekać.

Gdy w 1926 r. we Włoszech wystawiono na sprzedaż zbiór starych muzyków, okazało się, że wiele woluminów zawiera jego dzieła. W 1939 roku Academia Chigiana w Sienie zorganizowała „Tydzień Vivaldiego”, podczas którego wykonano szereg nowo odkrytych utworów. Po wojnie, w 1947 r., wydawnictwo „Ricordi” wraz z niedawno powstałym Instytutem Antonia Vivaldiego rozpoczęło publikację wszystkich dzieł instrumentalnych kompozytora.

Koncerty, a szczególnie „Cztery pory roku”, zaczęły zdobywać sobie coraz większe uznanie, zarówno wśród wykonawców, jak i słuchaczy. Jednak muzyka ta, grana na ogół pompacyjnie i w zbyt wolnych tempach, „wlokła” się niemiłosiernie. Na siłę doszukiwano się znów

owych „głębszych uczuć”, których w prostszych gamach i pasażach nie było. Ginęła więc istota muzyki Vivaldiego, tkwiąca nie w emocjach, lecz w samych figurach dźwiękowych.

Rewolucji na tym obszarze dokonał Neville Mariner, który wraz ze swoją orkiestrą kameralną „Academy of St. Martin - in - the - Fields” dokonał nagrania „Czterech pór roku”. Nagranie to, niezwykle lekkie, pogodne i pełne polotu od razu ujawniło prawdziwe, nie przeczuwane dotąd oblicze utworu. Ilustracyjność, „malarstwo dźwiękowe”, niezwykły dynamizm - chciałoby się rzec: zrywność - oto cechy stylu Vivaldiego, któremu obce są poetyczne uniesienia, podlane romantycznym sosem.

Przełomowe okazały się również wykonania na instrumentach historycznych z epoki - otworzyły nowe horyzonty możliwości brzmieniowych utworów włoskiego kompozytora. Nikolaus Harnoncourt dokonał pierwszego takiego nagrania w 1977 r. Później pojawił się cały wachlarz doskonałych interpretacji innych dyrygentów, w których dążono do odtworzenia w sposób jak najwierniejszy dźwiękowych realiów z czasów Vivaldiego. Odtworzenia, ponieważ przez minione 200 lat realia te zmieniły się diametralnie. Instrumenty były modyfikowane, budowano nowe, by można było grać na nich coraz głośniej i sprawniej. Zmieniano w ten sposób idiom dźwiękowy, a co za tym idzie i estetykę wykonania, wypaczając pierwotny zamysł kompozytorski. (c.d.n.)

ANDRZEJ HENRYK BĄCZYK

i wspieraniu szkoły żeńskiej w mieście. Hubert Beckhaus zmarł 8 stycznia 1900 roku pełniąc do śmierci funkcję dyrektora ostrowskiego Królewskiego Gimnazjum. Jeszcze w tym samym roku uczczono jego pamięć skromnym obeliskiem w ówczesnym parku miejskim (obecnie Park im. Karola Marcinkowskiego i Emilii Szczanieckiej). Jego imieniem nazwano także jedną z ostrowskich ulic (obecna ulica Dąbrowskiego). Trzeba tu wspomnieć, że ostrowskie gimnazjum ukończyli dwaj synowie dyrektora: Hubert w roku 1888 i Bruno w 1896.

W artykule pośmiertnym, który ukazał się w „Kreisblatt für den Kreis Ostrowo” z dnia 10 stycznia 1900 roku Józef Dwornik napisał o dyrektorze m.in.: „Zmarły był człowiekiem o wielkich zdolnościach, głębokiej wiedzy i nadzwyczajnym talencie pedagogicznym. Podczas jego ponad 26-letniej działalności dyrektorskiej nie zdarzył się ani jeden przypadek, aby abiturient nie zdał egzaminu maturalnego. Jego sprawiedliwość i bezinteresowność, jego naturalna uprzejmość i prosty otwarty sposób bycia zjednały mu miłość i poważanie nie tylko tych wszystkich, którzy się z nim stykali, ale wszystkich mieszkańców miasta. Swoje ideały z czasów młodości przeniósł i urzeczywistnił w życiu dorosłym. Państwo uhonorowało go nadaniem „Orderu Czerwonego Orła” oraz „Orderu Domu Hohenzollernów”, miasto nadając mu Obywatelstwo Honorowe. Współczucie mieszkańców

miasta z powodu jego nagłej i ciężkiej choroby było tak samo powszechne i szczerze, jak obecna żałoba po zmarłym, o którym Ostrow zachowa trwałą i wdzięczną pamięć.” W kolejnym numerze Kreisblatt'u ukazały się dwa nekrologi

zmarłego dyrektora, jeden podpisany przez grono pedagogiczne Gimnazjum, a drugi przez Magistrat i Radę Miejską. W obu podkreślono wybitne zasługi zmarłego dla szkoły i miasta.

JAROSŁAW BIERNACZYK

Ostrow, dnia 8 stycznia 1900.

Dzisiaj o godzinie 0.30 w nocy zmarł spokojnie w Panu po ośmiomiodniowych, ciężkich cierpieniach dyrektor Królewskiego Gimnazjum,

Honorowy Obywatel naszego miasta

Dr Hubert Beckhaus

kawaler wielu orderów

Przez ponad 26 lat kierował z wielką rozwagą i miłością tutejszym Gimnazjum, swoją głęboką wiedzę i bogate doświadczenia pedagogiczne oddał na usługi naszej szkoły. Dla uczniów był świetnym przykładem sposobu pojmowania życia oraz ojcowskiego przewodzenia, dla swych kolegów natomiast był lubianym przełożonym oraz życzliwym doradcą. Odebrano go nam wszystkim niestety za wcześnie. Kolegium nauczycielskie Królewskiego Gimnazjum w Ostrowie. Pogrzeb odbędzie się w środę 10 bm. o godzinie 3 po południu.

Nekrolog z „Kreisblatt für den Kreis Ostrowo” z dnia 13.01.1900 (Tłum. J. Biernaczyk)



Redaguje zespół: Witold Banach, Lech Wawrzyniak, Jerzy Wójcicki

Kontakt: 0601 752 805, 0601 160 121, 0502 145 279.

Artykuły i listy z dopiskiem „Impuls” prosimy składać w redakcji „Kurier Ostrowski”. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść listów i ogłoszeń. Zastrzegamy sobie prawo zmiany tytułów i adiacji tekstów.

Redakcja „Impulsu” wyraża serdeczne podziękowania sponsorom:

Maciejowi Dwornikowi za przekazanie diety radnego oraz Wielobranżowemu Zakładowi Usługowo - Produkcyjnemu

„Szargaa” Sp. z o. o.